

KSIĘGARNIA WTM



Jezuici *Nasze Wiadomości*

nr 23

Drodzy Czytelnicy!

Serdecznie chciałbym Was zaprosić do przeczytania naszego kolejnego numeru „Jeziuci-Nasze Wiadomości”. Poświęciliśmy go braciom zakonnym w Towarzystwie Jezusowym. Ich służba i oddanie Towarzystwu buduje zarówno nas jezuitów jak i ludzi świeckich, którzy z nimi współpracują w licznych dziełach Towarzystwa. Powołanie na brata zakonnego cechuje radykalne życie według rad ewangelicznych. Z jednej strony jest ono inne aniżeli powołanie kapłańskie, z drugiej jednak strony tak samo realizuje pełnię oddania się Chrystusowi. Wśród braci mamy wielu wspaniałych ludzi, o czym możecie się Państwo przekonać po lekturze jaką Wam przygotowaliśmy. Jako wprowadzenie do tematu powołania na brata zakonnego proponujemy artykuł, o. Mieczysław Kożuch SJ, odpowiedzialnego za formację braci w Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego.

Andrzej Kowalski SJ

15 czerwca 2002

Spis treści

Bracia w Towarzystwie Jezusowym	3
Prowincja „od kuchni”	4
Praca w WAM-ie	7
Rady duchowe br. Gepperta	9
Apostolat intelektualny	10
Opowiadania z wojennej tułaczki br. Ludwika	13
Towarzystwo potrzebuje braci	15
Wojenny nowicjat	18
Wspomnienia z misji zambijskiej	20
W drodze	22
Kucharz od urodzenia	27
Krawczarz	30
Kilka opowiadań br. Stefana	33

Bracia w Towarzystwie Jezusowym

Wielu jezuitów wspomina z olbrzymią wdzięcznością braci, których Bóg postawił na drodze ich życia. Byliśmy ministrantami w jezuickich kościołach, spotykaliśmy ich pracujących przy furtach naszych domów zakonnych, pracowali jako ogrodnicy, kucharze, mechanicy, stolarze.

Kim byli dla nas, młodych, co uobecniiali swym życiem?

Po pierwsze - widzieliśmy ich jako prostych, życzliwych, radosnych, oddanych Bogu i ludziom zakonników. Najczęściej spotykaliśmy ich w zakryściach, promieniujących atmosferą modlitwy. Bracia byli ludźmi wielkiej modlitwy. Modlili się sami i uczyli modlić się innych. Najczęściej symbolami tej modlitwy były: różaniec i klęcznik.

Po drugie - wyczuwało się u nich wielką miłość do Towarzystwa Jezusowego, połączoną z pokorą i usłużnością. Oni czuli się dumni, że byli jezuitami, mówili o tym najczęściej bez słów, wyrażając to przede wszystkim w postawie służby. Właśnie dlatego wielu z nas wstąpiło do Towarzystwa, gdyż zostali pociągnięci przez braci. Kontakt z nimi możliwy był na codzien, nie krępowali; byli zwyczajni i przystępni. Pytaliśmy ich o wiele rzeczy. Oni uobecniiali prostym życiem szlachetne ideały duchowości naszego Zakonu.

Po trzecie - byli ludźmi ogromnej pra-

cowitości. Kto ze starszych jezuitów zapomniał brata Szwałę, Niziołka, Habrata, czy Spyre? W Kolegium Krakowskim zakryścia, furta, wydawnictwo, załatwianie drobiazgów - bez nich były nie do pomyślenia.

Jak wygląda formacja braci obecnie? Dwuletni nowicjaci mają wspólny z tymi, którzy są powołani na kapłanów. Po złożeniu ślubów wieczystych na zakończenie nowicjatu, są formowani do różnych profesji, by mogli lepiej wspomagać dzieła Towarzystwa. Ważną sprawą jest zapewnienie im dobrych środowisk w pierwszych latach życia zakonnego (dla lepszego wejścia w życie i duchowość jezuicką). Powołań na braci obecnie nie ma dużo. Z wielu racji takie powołanie jest trudniejsze, niż kapłańskie. Jednocześnie posiada niezwykłą rangę: stanowi o jakości Towarzystwa. Scala od wewnątrz różnego rodzaju poczynania apostołskie. Przełożeni nadają tym powołaniom kierunek, dbają o ich rozwój, bracia natomiast tworzą klimat stałości i zwyczajnej obecności jezuitów w danej pracy, nawet wtedy, gdy poszczególni jezuita są w niej mało widoczni. Cechą braci w danym apostołstwie jest niezmiennie, codzienne uobecnianie charyzmatu Towarzystwa.

*o. Mieczysław Kożuch SJ
Delegat o. Prowincjała
do spraw formacji braci*

Prowincja „od kuchni”

Do zakonu zgłosiłem się razem z bratem Mietkiem Sobotą. Mietka przyjęli, a mnie nie, bo byłem chory. Jakiś rok później zamierzałem jechać w odwiedziny do kuzyna do Raciborza, który miał mi tam załatwić pracę - 1949 rok.

Trzeba było mi iść po papiery, które zostawiłem w klasztorze. Przyszedłem. Wydawało się, że cała furta się rusza. Może byłem nerwowym... Magister mnie poprosił, usiąść kazał. Chodził tam i z powrotem. Czulem głód, bo było to koło południa. Myślałem sobie: niech mi da te papiery, bo chcę już iść. A on pyta, czy jakby tak przyszło pozwolenie od o. Generała, to co bym wybrał: zakon czy Racibórz? A ja mówię - jakby przyszło, to bym się zastanawiał. Myślałem sobie: po co on mnie się tak pyta? A on jeszcze raz - zmów sobie „zdrowo-
waśkę”, umiesz? No to sobie zmówi-



foto: Waldemar Paweł Los SJ

Br. Tadeusz Jajko SJ, ur. 1927, do zakonu wstąpił w 1949, obecnie pracuje jako furtian w Starej Wsi.

łem i jeszcze raz pyta, co bym wybrał. Mówię - poszedłbym do aspirantury. A on wyjmuję z szufladki list i oznajmia, że jestem przyjęty. Napisane było, że mam jechać do Czechowic. Mogłem przyjść, żeby odebrać papiery, po roku, po dwóch, a tu akurat przyszedłem w ten dzień, kiedy ta poczta została doręczona. Dał mi list, w domu powiedziałem, że mnie przyjęli. Zakupiliśmy drobne rzeczy, kalesony, płaszcz itd. Na drugi dzień pojechałem do Krakowa. Z Krakowa, w nocy, jakiś brat mnie wysłał

Sznyclę cielęcę:

Cielęcinę musisz dobrze zmielić, dodajesz parę jajek, troszkę pieprzu, cebuli i bułki. Koniecznie wyjmij wszystkie żyłki. Otaczasz w bułce tartej. Smażysz na oleju, nie na starym smalcu.

do Czechowic. Obcy gość mnie pyta na dworcu, dokąd jadę? On był z Bielska i dwa tygodnie już jechał do Czechowic. To ja sobie pomyślałem, że to Bielsko, to musi być bardzo daleko.

Jedzie do żony. Dał mi się napić... a było zimno, więc chętnie skorzystałem. Okazało się, że pracował on u naszych w Czechowicach. Podprowadził mnie. Popijał trochę, żartował sobie z tymi dwoma tygodniami. Mówił, że jak do żony dojeżdża, to zawsze jedzie dwa tygodnie, bo w każdym barze przystaje...

W Czechowicach wstawałem rano, a budził mnie brat Barnaś, który był wcześniej w obozie koncentracyjnym. Rano pod drzwiami śpiewał godziniki, aż się ubrałem. Uczył mnie ministrantury po łacinie. Służyłem trzem ojcom do Mszy Świętej.

Przyjęli wtedy do pracy w Domu ja-

kąs kucharkę i ona uczyla mnie gotować obiady. W sierpniu przyjechałem do Starej Wsi, tydzień spędziłem w domu, a później rozpocząłem nowicjat. Brat Mietek już tu był. Bracia-no-

wicjusze codziennie, o dziewiątej, szli do pracy: jeden do zakrystii, drugi do ogrodu itd., a ja do kuchni. Poznawałem też w infirmerii tajniki suszenia i przyrządzania ziół: melisy, waleriany, szałwi. Brat Kiczek nauczył mnie wielu rzeczy - co na ból głowy, co na ból brzucha. I dobrze się czułem w infirmerii - kark mi zgrubł, buzia też. Jak zacząłem tak dobrze wyglądać, to mnie przenieśli

do Krakowa, na Kopernika, do kuchni. Tam spędziłem jeden rok. Dyscyplina była jak w wojsku. A ja nie wiedziałem, że jestem chory na cukrzycę. Już przed wstąpieniem się objawiało się to bólem nogi. Z tego powodu



fol. Waldemar Paweł Los SJ

Zupa cytrynowa:

Robisz zasmażkę na maśle, jak na barszcz. Później kroisz cytryny na plasterki, wysypujesz do środka trochę cukru, a skórki skroisz. Żeby było tak cytrynowo, a zupa była żółta - to dodajesz barwnik spożywczy - żółty. Wystarczy troszeczkę i masz kolor jak cytryna. A kwaskowate jest - są cytryny. Do tego gotujesz ryżu, byle nie za dużo, bo zupa będzie za gęsta.

w nowicjacie dostałem od rodziny ciepłe skarpetki. Nie chwaliłem się tym, żeby mnie z zakonu nie wyrzucili.

Po roku przyzwyczaiłem się do nowego miejsca. Nauczyłem się piec ciasta, leguminę robić. W Krakowie mieszkałem cztery lata. A był to ciężki okres lat pięćdziesiątych. Co miesiąc kupowaliśmy krowę. Przywożono ją ukradkiem w nocy z Nowej Huty, gdzie była wielka hodowla: wieczorem chłopci brali konie, przykrywali krowę i przywozili nam.

Potem zostałem szefem kuchni w Krakowie, Nowym Sączu i w Starej Wsi. Po jakimś czasie przełożeni odesłali

mnie z powrotem do Nowego Sącza, stamtąd do Czechowic i wreszcie do Zakopanego. Odwiedziłem też Kłodzko. Tam, w związku z cukrzycą, nasiliły się bóle nogi i musiałem jechać do Krakowa na badania. Okazało się, że trzeba ją amputować. Ze szpitala wróciłem do Kolegium.

Jak wyzdrowiałem, przyjechałem do Starej Wsi. I zostałem na furcie. Tutaj jest spokój: pogwizduję, różaniec odmówię, telewizję pooglądam. Mówią: „Będzie pogoda, bo brat Jajko śpiewa.”

*opracował:
Andrzej Kowalski SJ*

Placki ziemniaczane:

Musisz tak przyrządzać, żeby nie były ciemne. Gdy trzesz ziemniaki - kładziesz je na durszlaku, a woda zostaje w garnku. Niech ta woda postoi z godzinę. Dodajesz do ziemniaków mąki krupczatki, parę jajek, soli, cebulkę surową, drobnitko pokrojoną, pieprzu troszeczkę, maggi. Wylewasz powoli tę wodę z ziemniaków, która ci została w garnku, a na dnie pozostaje biały osad - to jest krochmal. Dodajesz ten krochmal do ziemniaków i zabielasz przez to ziemniaczki. Wlewasz jeszcze dwie, trzy łyżki słodkiego mleka, trochę śmietany i masz białe placki.

Pierogi:

Najpierw gotujesz ziemniaczki, uważając żeby się nie rozgotowały. Przepuszczasz je przez maszynkę. Później bierzesz ser, dobrze go wygniatasz, żeby nie był zbyt rzadki i znowu przez maszynkę. Masz już ziemniaki i ser, dodajesz trochę gotowanej kapusty pokrojonej w kosteczkę. Kapusta jest potrzebna, bo ziemniak kapustę przyjmuje. Dostaje dobry smak i pierogi przechodzą leciutko przez gardło. Później dajesz cebulkę: cebulka rumiana, nie spalona. Potem maggi, później pieprzu, wreszcie soli i majeranku. Wszystko musisz dobrze wymieszać. Bierzesz bułkę tartą i otaczasz małe kawałeczki, żeby się nie kleiło. Odkładasz sobie to na tackę. Robisz ciasto. Klejąc, nawilżasz brzegi wodą, żeby dobrze ciasto się sklepiło.

Praca w WAM-ie

Redakcja: Grzegorzu, powiedz jak trafiłeś do jezuitów?

Urodziłem się 10 kwietnia 1968 roku we Wrocławiu. Mam więc już 34 lata, ale jeszcze nie czuję się tak bardzo stary. Moimi rodzicami są Irena i Jerzy, mam też troje rodzeństwa: brata i dwie



fot. Andrzej Kowalski SJ

siostry. Tuż po moim urodzeniu zamieszkaliśmy na terenie parafii jezuickiej, po kilku latach przenieśliśmy się na tereny parafii franciszkańskiej, by znów wrócić do jezuitów – tak chyba

Br. Grzegorz Sochacki SJ, ur. w 1968, wstąpił w 1989, obecnie mieszka i pracuje w Krakowie.

musiało być.

Bardzo często odwiedzałem razem z kolegą jezuitów, zwłaszcza jednego, był nim brat Stanisław Mazurek SJ, miał dla nas zawsze czas. To wielki człowiek, obecnie pracuje jako zakrytystianin w Kłodzku.

Mieszkałem we Wrocławiu do 21 roku życia, tuż po ukończeniu szkoły średniej wstąpiłem do nowicjatu w Starej Wsi.

R: Prowadzisz odpowiedzialną pracę w wydawnictwie WAM. Na czym ona polega?

Gdy upłynął czas nowicjatu o. Prowincjał Mieczysław Kożuch SJ skierował mnie do pracy w wydawnictwie. Przez pierwsze pięć lat pracowałem w dziale handlowym, następnie zostałem przeniesiony przez dyrektora o. Henryka Pietrasa SJ do księgarni. Wydawnictwo zaczęło bardzo szybko rozwijać się. O. Bogdan Całka SJ, dyrektor ekonomiczny, rozpoczął zakładanie nowych księgarni WAM. Powierzono mi opiekę nad nimi, co niniejszym czynię. Praca, którą wykonuję, daje mi dużo satysfakcji, zwłaszcza gdy ma się

współpracowników i przełożonych tak dobrych ludzi, jakich mam ja.

R: Jesteś bratem zakonnym, a czy kiedykolwiek myślałeś o kapłaństwie?

Jako osoba dorosła nigdy nie myślałem o kapłaństwie, ponieważ jestem przekonany, że nie byłby to dobry wybór. Czasami ludzie zadają mi pytanie: dlaczego brat, a nie ksiądz. Mogę tylko krótko powiedzieć, że wielu jest powołanych, a mało wybranych. Ja jestem powołany do tego, by być bratem, a nie wybranym, by być kapłanem. Myślę, że o wyborze wstąpienia do zakonu na brata zaważyło życie jezuitów, mieszkających w mojej rodzinnej parafii. To chyba dzięki nim i moim rodzicom, którzy modlili się za mnie jestem tutaj.

Dziękuję Bogu, że będąc jezuitą poznałem wielu ciekawych i dobrych ludzi. Czasami zastanawiam się gdyby nie wybrał tej, a inna drogę – możliwe, że nigdy ich bym nie spotkał. Jak dużo bym stracił...

R: Grasz dobrze w piłkę nożną. Czy grałeś kiedyś w klubie sportowym?

W piłkę nożną, jeśli dobrze pamiętam



gram od urodzenia. Naprawdę kocham ten sport, lubię go uprawiać i oglądać mecze. Gdy byłem młody dzień bez piłki uważałem za stracony. Codziennie po szkole zbieraliśmy się z kolegami i kopaliśmy w ten balon. Czasami dołączał się O. Władysław Pietryka SJ, powodując, że gra była czysta, tzn. bez niepotrzebnych słów. W prawdziwym klubie nigdy nie grałem, ale brałem udział w rozgrywkach wydziałowych PA-FA-WAG-u, gdzie kiedyś pracowałem. Pamiętam, jak raz za zajęcie dobrego miejsca w grupie, dostaliśmy po parę złotych. Poczułem się wtedy niczym prawdziwy zawodowiec.

Uważam, że w zakonie jest bardzo dużo możliwości uprawiania wszelakiego sportu, jeśli się tylko chce. Znam bardzo wielu jezuitów, weteranów sportu, którzy uprawiali go czasami nawet i w podeszłym wieku. Czyż to nie piękne?

R: Każdy z naszych braci słynie z opowiadania różnych historyjek. Czy możesz nam jakąś powiedzieć?

Jak co roku w Sanktuarium Maryjnym w Starej Wsi odbywa się odpust, na który zawsze przybywa biskup. Po uroczystościach kościelnych jest uroczysty obiad. Wtedy też tak było. Służyliśmy do stołu. Kiedy ksiądz biskup zasiadł na pierwszym miejscu, obok rektora, od razu pojawił się nowicjusz z pełną wagą zupy. Przez małą nieuwagę nowicjusz potknął się

i wylał na biskupa większą część zupy. Biskup nic nie powiedział, wstał i poszedł się przebrać, po czym wrócił. Nowicjusz wiedząc, że biskup jest nieco smutny podszedł do niego, by go pocieszyć i rzekł: "Księżu biskupie, proszę się nie martwić zupa w kuchni jeszcze jest".

Redakcja: Dziękujemy za rozmowę.

*wywiad przeprowadził:
Andrzej Kowalski SJ*

Rady duchowe br. Gepperta

Droga każdego zakonnika to doskonalenie i zapieranie się samego siebie. Jeżeli postanowiłeś iść za Chrystusem - naśladuj Jego życie: ciche, pokorne. On sam powiedział: „Uczcie się ode mnie, bo jestem cichy i pokornego serca”. W życiu zakonnym jest to czasem bardzo trudne, bo ilu przełożonych - tyle poleceń. Trzeba wszystkie polecenia umieć przyjąć i duchowo wykorzystać. To jest sztuka. Każde powołanie jest takie, jakie Pan Bóg dał. Nie jest się tym, kim chciałoby się być, a trzeba dążyć do zmiany siebie na lepsze. To jest właśnie umiejętność życia. Dobrze jest rozmawiać z innymi, ale waż-

Br. Zygmunt Geppert SJ, ur. w 1912, do naszego zakonu wstąpił w 1931, obecnie mieszka w Świętej Lipce.

ne jest najpierw uczyć się słuchać, a potem umieć prowadzić rozmowy, co jest ważne w życiu zakonnym. Słowa muszą być zakorzenione w życiu. Najlepszym przykładem jest św. Ignacy, który zasmakował życia światowego jako żołnierz tam musiał zaznać swawoli ze wszystkich stron. Potem dopiero przemienił się, a co było tego przyczyną? Rachunek sumienia!

On sprawia cuda. Św. Ignacy rozpoznał, że są światy dobre i złe, jest dobry doradca i zły doradca, dobry i zły anioł. Dobry anioł pozwala robić wszystko dobre, a zły wprowadza niepokój. Ignacy właśnie wtedy rozpoznał działalność duchów. I dlatego polecił nam w ten sposób odprawiać rachunek sumienia. Ważne jest, by chcieć być takim Piotrem Klawerem, który rozmawiając z człowiekiem, uświęcił siebie i jego. Dlaczego? Bo umiał prowadzić rozmowę! To jest ważne by na drodze zakonnej umieć rozmawiać ze wszystkimi, nie tylko

z tymi, którzy są dla mnie mili. Każdy jest dobry, bo każdy idzie Bożą drogą i każdy chce naśladować Pana Jezusa. Jeden jest bliżej Niego, inny dalej. Jeden lepiej Go rozumie, ma więcej świadomości i rozeznania, inny mniej, ale wszyscy dążą do Boga. Nie można dopuścić, by jakiś dzień minął bez zyskania kogoś dla Boga. Bądź kupcem i bądź złodziejem, kradnij to, co dobrego usłyszysz, zachowuj to i spróbuj realizować tak by cię udoskonała.

*opracował:
Waldemar Paweł Los SJ*

Apostolat intelektualny



foto. Archiwum

Bracia w zakonie jezuitów nie są określane poprzez pełnienie niższych, d u c h o w o mniej wymagających obowiązków, aniżeli jezuitki kapłani.

O byciu jezuitą nie decyduje to, czym się zajmujemy, lecz to, do czego my, wszyscy ojcowie i bracia, jesteśmy powołani: byśmy towarzyszyli Jezusowi, by mógł nas wysłać „na głoszenie na-

Br. Michael Hainz SJ, ur. w 1954, wstąpił w 1973, obecnie mieszka i pracuje w Monachium.

uki” (Mk 3,14). Ojcowie zebrani na 34 Kongregacji Generalnej sformułowali to następująco: wszyscy dzielimy jedno powołanie i przyczyniamy się „do wypełniania jednej wspólnej misji” w „służbie wierze, w której szerzenie sprawiedliwości jest absolutnym wymogiem” (34 KG, D.7, nr 2 i 3). Kongregacja Generalna wzywa: „aby zespolenie wszystkich jezuitów w jedno ciało towarzystwa było wszędzie co-

raz pełniejsze i skuteczniejsze” oraz potwierdzając jedność powołania w Towarzystwie, zwraca uwagę na potrzebę rewizji naszych postaw, tak, aby różnorodność nie przeszkodziła nam mieć prawdziwie „jednego ducha i jedno serce” (Dz 4,32).

Jako jezuita, który już 28 lat należy do zakonu, mogę powiedzieć, że dla mnie ta „jedność powołania i misji” jest rzeczywistością. Głównym motywem, dla którego zostałem jezuitą, nie była świetna „jakość” ludzi czy szeroka, fascynująca służba apostołska w Towarzystwie Jezusowym, lecz wołanie Jezusa podczas rekolekcji. Kiedy medytowałem Jego spotkanie z Zachaeuszem, usłyszałem głos Jezusa: „Zejdź prędko, albowiem dziś muszę się zatrzymać w twoim domu” (Łk 19,5). Wołanie było wyraźne, ale zarazem delikatne, zostawiające mi wolność do osobistej odpowiedzi: oddania mojej osoby Jezusowi i złożenia ślubów zakonnych.

Życie zakonne rozumiem jako zdecydowaną, zobowiązującą, publiczną próbę kroczenia za Jezusem, jako człowiek wolny, czysty, zdobywający Królestwo Niebieskie, jako zależny od Boga i ludzi, ubogi i posłuszny, którego głównym motywem jest tak, jak u Jezusa, pragnienie czynienia woli Ojca (J 4,34). Szczególną cechą życia jezuitskiego jest jego wymiar apostołski: jesteśmy, jak Jezus, w drodze do ludzi i staramy się publicznie wyznawać Królestwo Boże, aby tym świadectwem zdobywać ludzi dla Boga.

Tę samą misję uświadamiam sobie

konkretnie jako brat zakonny. Po odbytych studiach filozoficznych, ekonomicznych i socjologicznych uzyskałem doktorat. Pracuję jako wykładowca nauk społecznych w prowadzonej przez jezuitów Wyższej Szkole Filozoficznej w Monachium. Równocześnie jestem kierownikiem Instytutu Nauk Społecznych, który stanowi integralną część tej szkoły. W instytucie pracuje nas razem trzech ojców i dwóch braci. Do moich obowiązków należy wygłaszanie odczytów i wykładów. Prowadzę także badania naukowe (np. wspólnie z Instytutem Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie), piszę artykuły i książki oraz współpracuję z instytucjami kościelnymi i naukowymi. Jestem także koordynatorem prac Jezuitskiego Dzieła Pomocy Uchodźcom na terenie południowych Niemiec. Stąd raz w tygodniu odwiedzam azylantów, czekających w jednym z monachijskich więzień na deportację. Razem ze świeckimi instytucjami próbujemy tworzyć polityczne lobby, mające bronić interesów tych ludzi.

Ważne jest dla mnie, że jako brat mogę brać udział w życiu wspólnotowym, np.: wspólna modlitwa ze współbraćmi, spożywanie posiłków czy wycieczki w góry. We wspólnocie życia zakonnego realizuje się podstawowe, wspólne nam braterstwo, które Pan kazał nam szerzyć: „Jeden jest wasz Nauczyciel, a wy wszyscy braćmi jesteście” (Mt 23,8).

tłumaczył:

Waldemar Paweł Los SJ

br. Ludwik Pacułt SJ

Urodziłem się 1912 roku w Zebrzydowicach. Przed wstąpieniem do zakonu pracowałem u majstra w stolarni, a wieczorem uczęszczałem do szkoły. Do jezuitów wstąpiłem w 1936 r., a rok wcześniej odbyłem tak zwaną aspiranturę. 21 czerwca 1935 r. ubrałem po raz pierwszy suknię. W nowicjacie czułem się bardzo szczęśliwy. Przed i parę miesięcy po złożeniu ślubów pracowałem w in-firmerii.

Na początku września 1936 roku przełożeni posłali mnie do Lwowa, gdzie byłem bardzo krótko. Rok przed wybuchem wojny przyjechałem do Krakowa i pracowałem w stolarni.

We wrześniu 1939 roku w kolegium krakowskim było 108 kle-

ryków. Dwóch wystąpiło, reszta uciekła przed Niemcami. Ja pojechałem do Nowego Sącza.

Wykonywałem prace stolarskie. Tam też przenieśli się klerycy z Krakowa. Po Sączu skierowali mnie do Starej Wsi.

Byłem tu do 2 marca 1945 r. i pojechałem do Krakowa. W lipcu przenieśli mnie do Czechowic.

Po jakimś czasie przeniesiono mnie do Wrocławia, by i tam wykonać najbardziej pilne remonty. Po Wrocławiu wróciłem znowu do Czechowic.

Wreszcie do Częstochowy. Tam miałem „wszystko” na głowie – porządek w domu, jadalnię i zakrystię.

Stamtąd przyjechałem już do Starej Wsi – to był 1951 r. I tak jestem w Starej Wsi już 51 lat, pracując w stolarni.



Opowiadania z wojennej tułaczki brata Ludwika

Redakcja postanawia przedstawić Czytelnikom tekst w oryginalnej wersji stylistycznej, ze względu na jej niepowtarzalny klimat i urodę.

Proboszcz mojej rodzinnej parafii był bardzo dobrym człowiekiem. Umiał nas, chłopaków, ująć za serce. Czczył św. Stanisława Kostkę SJ. Z okazji uroczystości dwustulecia Jego kanonizacji mieliśmy rekolekcje. Było dużo chłopaków, ok. trzystu pięćdziesięciu. Pamiętam, jak donośnie ksiądz mówił z ambony o Młodym Świętym. Byłem tak zachwycony św. Stanisławem, że już wtedy zrodziła się myśl o wstąpieniu do jezuitów. Należałem też do KSM-u. Naszym opiekunem był ks. Kurowski. Gdy dowiedział się, że ja wstępuję do jezuitów - dziwił się, bo przecież w mojej miejscowości były dwa klasztory: Bernardynów i Bonifratrów, a ja akurat do jezuitów. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale tak skojarzyłem ze św. Stanisławem, że powiedziałem mu, iż chcę być w tym samym zakonie co On. Po trzydziestu latach spotkałem naszego ojca Józefa Świerczka SJ - misjonarza, który zapytał, jak ja się czuję w tym zakonie św. Stanisława Kostki. Zastanawiałem się, dlaczego on zadaje takie pytanie? Powiedział, że głosił rekolekcje w Makowie Podhalańskim, gdzie probosz-

czem jest ks. Kurowski. Ten sam, któremu mówiłem o mojej decyzji wstąpienia do jezuitów.

Tak się złożyło, że w Krakowie jeden brat-stolarz wystąpił z zakonu. Mnie dano więc do stolarni. Przyjechałem w listopadzie, a wojna wybuchła następnego roku, we wrześniu. Zajęcie Krakowa było bardzo szybkie, żadnej wojny, żadnego strzelania. Ani żywej duszy na ulicach, Kraków cały zamarł. W naszym kolegium krakowskim zostało może z 15 osób. Niemcy przyszli do kolegium dopiero 10 listopada. Mnie się udało uniknąć aresztowania, bo dwa dni wcześniej zostałem opatrnościowo wysłany do Nowego Sącza. Aresztowano tylko niektórych z naszych. Okupanci mieli za zadanie zdziesiątkować jezuitów i wcale nie chodziło im o nazwiska, a raczej o liczbę. Brali szczególnie tych, którzy byli wykształceni, którzy mogli być dla nich szkodliwi.

W czasie wojny w Starej Wsi prowadzono tajne nauczanie. Było to tak ukryte, że dowiedziałem o tym dopiero po dwóch latach. 2 marca 1945 r. przenieśli mnie do Krakowa. Podróż ze Starej Wsi do Krakowa była bardzo ciekawa. Wyszedłem z Kolegium o siódmej rano. Odwieźli mnie koniem do Strzyżowa. Tam była kolejka wąskotorowa. Do Rzeszowa dotarłem na

jedenastą. Okazało się, że do Krakowa jedzie pociąg z rosyjskimi żołnierzami. Zapytałem jednego z nich, czy mógłbym się zabrać z nimi. Zgodzili się. Wsadzili mi wszystkie rzeczy do wagonu. Za Dębicą okazało się, że pociąg stanął. Pytałem, co się dzieje - po prostu zatrzymali się w polu i czekają. Nie spieszyło im się, bo jechali na front. I tak staliśmy dość długo. A ja

nie miałem nic do jedzenia. Dostałem na drogę tylko ćwiartkę chleba. Było zimno. Staliśmy chyba ze sześć godzin. Do Krakowa dotarliśmy gdzieś późnym wieczorem. Wyszadzili mnie na przedmieściach Krakowa. Nie wiedziałem, jak iść do naszego Kolegium. Poprosiłem jednego chłopca, żeby mi zostawił rzeczy u niego, a przyjdę po nie jutro. Pozwolił i tak poszedłem. Nazajutrz

wzięliśmy konia i pojechaliśmy po rzeczy. Czekaliśmy na mnie u gospodarza. W lipcu pojechałem do Czechowic. Byłem tam sam, ale bardzo krótko. Chodziłem do pewnej kobiety na posiłki. Nasz dom wyglądał strasznie: okropnie zniszczony, popalony, zabrudzony. Jak byli tam Niemcy, to dbali o niego. Tylko kaplicę przerobili na aulę, a na łuku nad tą aulą napisali po niemiecku: „Naszą Ewangelią jest rozkaz Hitlera”. Później przyszli Rosjanie i zro-

bili tam szpital. Tak zniszczyli dom, że był potrzebny bardzo gruntowny remont. Ludność miejscowa dogadała się z Niemcami. Powywozili z kaplicy ołtarz i obrazy, przetrzymali przez parę lat. Po wojnie oddali nam. A ja to wszystko z powrotem składałem. Bieda była wielka. Miednicę i poduszkę przyniosła mi kobieta z domu. Naprawiałem niektóre drzwi, okna, kilka pokoi odremontowałem. Od razu też przygotowywałem mieszkanie ojcu Superiorowi. Swój pokój robiłem później, pomimo że była straszna zima. Tekturą zamykałem okno; temperatura w pokoju spadała do 0° C. Parę nocy było naprawdę bardzo zimnych.

Pojechałem później do Wrocławia, gdzie także remontowałem dom. Tak ciężko, jak we Wrocławiu, nie

miałem nigdzie, nic tam nie było: ani kuchni, ani mieszkania, ani nic do jedzenia. Niemka gotowała tylko kluski. Tak trudne warunki były ponad rok. Miałem naprawić kilka rzeczy w domu, ale nie było żadnych materiałów, ani narzędzi. Pewnego razu Superior zaprowadził mnie do piwnicy. Stało tam kilka połamanych łóżek. Kazał mi z nich coś zrobić, ale to się nie nadawało na nic, stolarka wymaga dobrego materiału.



foto. Waldemar Paweł, Łos-Si

Te wszystkie troski odbijały się na całym życiu wewnętrznym. Ciężko było się modlić, porządnie koronkę zmówić.

W Starej Wsi jestem już 51 lat. Zrobiłem wiele drobnych i większych rzeczy: winę w kuchni, obicia na meble w kuchni, szafy w zakrystii i w kaplicy nowicjackiej, ołtarz w kaplicy nowicjackiej oraz ambonkę... Remontowałem



fol. Waldemar Paweł Los SJ

też konfesjonały w kościele. Klęczniki nie były chyba renowowane od początku, jak kościół istnieje – tak były wytarte. Kiedyś też poproszono mnie, bym zrobił okna w wirydarzu. Teraz jestem już stary i zmęczony, ale jeszcze chętnie do stolarni zachodzę, żeby coś porobić.

opracował:
Andrzej Kowalski SJ

„Towarzystwo potrzebuje braci, dlatego właśnie że są braćmi”

„Jezuicki brat zakonny, uczący filozofii na uniwersytecie” – to zdanie zaskakiwało wielu europejskich jezuitów, którzy dowiedzieli się, że właśnie tym zajmują się od 1992 roku na Uniwersytecie Saint Louis. Spontanicznie rodzi się pytanie: dlaczego właściwie zostałem bratem, a nie kapłanem? Żeby rzetelnie odpowiedzieć, pozwólcie, sięgnę do samego źródła.

Br. William Rehg SJ, ur. w 1952, do zakonu wstąpił w 1976, pracuje na Uniwersytecie w St. Louis, USA.

Myśl o tym, by przyłączyć się do jezuitów, pojawiła się po raz pierwszy latem 1974 roku. Wtedy to zakończyłem, zakontraktowaną na jeden rok, pracę w „branży” chemicznej. Zdecydowa-

łem się zaangażować w jakąkolwiek organizację religijną, misjonarską. Na początku spędziłem miesiąc, pomagając Glenmary Missionaries, którzy działają wśród biedoty, zamieszkującej Appalachy. W międzyczasie zgłosiłem się do Jezuickiej Grupy Wollontariuszy (JVC). Koordynuje ona młodych katolików, którzy pragną bezinteresownie pomagać potrzebującym.

Gdy wróciłem z Appalachów dowiedziałem się, ku wielkiemu zaskoczeniu, że JVC odrzuciło moją propozycję. Pomyślałem więc, czy nie lepiej po prostu wstąpić do jezuitów. Moim pragnieniem nie było zostać zwykłym księdzem na parafii, ale robić coś więcej, a wiedziałem, że jezuici zaangażowani są na dość szerokim polu duszpasterskim. Mógłbym więc służyć Bogu jako brat zakonny – jezuita – o ile taka możliwość istnieje. W gruncie rzeczy niewiele wiedziałem o jezuitach, ale sam pomysł wstąpienia do tego zakonu zainspirował mnie bardzo. Zdecydowałem, że wstąpię do niego, jeśli będę mógł być bratem zakonnym. W sierpniu 1976 roku, po zapoznaniu się z jezuitami z Regis College w Denver, rozpocząłem nowicjat.

Poradzono mi, że gdy tylko utwierdzę się w decyzji, będzie łatwiej przejść z formacji kapłańskiej do statusu brata zakonnego. Dlatego też mój nowicjat był taki sam, jak innych współbraci, zdecydowanych na kapłaństwo. W rezultacie, kończąc studia modliłem się i poważnie rozważałem możliwość

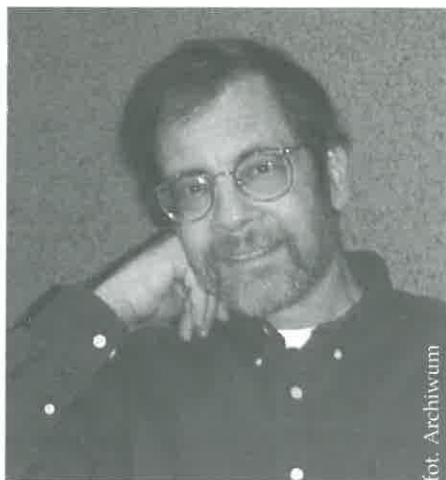
święceń kapłańskich. Na trzecim roku teologii, praktycznie w przeddzień święceń, usłyszałem głos Boga, wzywający do pozostania bratem zakonnym. Kiedy poinformowałem przełożonego, że chciałbym jednak zostać bratem, on natychmiast zaproponował rozpoczęcie doktoratu z filozofii.

Filozofia pasjonowała mnie już od momentu, gdy rozpocząłem studia po nowicjacie. W trakcie mojej magisterki (okres praktyki duszpasterskiej między studiami filozofii i teologii) przez dwa lata uczyłem filozofii w Rockhurst College w Kansas City. Owocem tego zaangażowania było pragnienie pogłębienia studiów właśnie w tej dziedzinie. Rok po obronie doktoratu na Northwestern University (grudzień 1991r.) rozpocząłem pracę na Saint Louis University (SLU) i trwa to do dziś.

Nie mam tu zbyt wiele zajęć, co pozwala poświęcić więcej czasu badaniom. Katedra filozofii na SLU jest wspaniałym miejscem pracy naukowej. Szef katedry, o. Ted Vitali C.P, ma niesamowity dar kierowniczy. Utrzymuje niezwykłą harmonię na naszym fakultecie. Dzięki wieloletniej praktyce na uniwersytecie miałem częste okazję nawiązywać głębokie przyjaźnie. Wykłady prowadzę z jednym ze współbraci. Świeccy współpracownicy pomagają mi w organizowaniu konferencji, wydajemy razem książki i inne publikacje. Na uniwersytecie pracuje ze mną jeszcze dwóch jezuitów, którzy są bardzo dobrymi partnerami do rozmowy i wspaniałymi doradcami naukowymi.

Przyczyna, dla której jestem bratem zakonnym, a nie kapłanem, jest prosta: wierzę Bogu, że powołał mnie właśnie do takiej służby. Gdyby jednak kogoś moja odpowiedź nie zadowalała, proponuje skierować uwagę ku doświadczeniu wspólnoty. Przed przyjściem na SLU mieszkalem wraz ze scholastykami, uczącymi się filozofii. To właśnie ich hojność i poświęcenie w służbie bliźniemu tak bardzo mnie zainspirowały. To oni nauczyli mnie sensu życia zakonnego. Był też w naszej wspólnotcie brat Tom Naughton SJ. Pokazał mi, jak silna potrafi być przyjaźń brata zakonnego. W roku 1997 ciężka choroba zmusiła mnie do miesięcznego pobytu w szpitalu. Przez kolejne dwa lata musiałem regularnie widywać się z lekarzem. Od samego początku Tom przyrzekł mi, że będzie ze mną, kiedykolwiek będę go potrzebował. Tak też się stało. Pomagał mi we wszystkim: dwa razy w tygodniu zawoził do szpitala i trwał ze mną cierpliwie na kilkugodzinnych badaniach. Podobnie, jak inni jezuici, kapłani i bracia, myślę, że życie zakonne pociąga mnie poprzez służbę w pełnej wolności, szkołę modlitwy, życie wspólnotowe i wiele wspaniałych przyjaźni. W spełnianej posłudze szczęśliwym czyni mnie możliwość bycia jezuitą. Być może Towarzystwo Jezusowe potrzebuje braci zakonnych, dlatego właśnie że są braćmi, a nie kapłanami. Ich powołanie przypomina o wielkiej atrakcyjności życia zakonnego, jako wartości samej w sobie, bez względu na wykonywaną pracę.

Dlaczego jezuici powinni pracować jako wykładowcy na Uniwersytetach? Po pierwsze, aby towarzyszyć intelektualnemu postępowi współczesnego świata. Po drugie, dziś, kiedy ludziom Kościoła tworzy się negatywny wizerunek, wydaje się rzeczą niezbędną



uczestnictwo w edukacyjnym życiu społeczeństwa. Przecież każdy katolik dzieli się z innymi ludźmi swoimi unikalnymi umiejętnościami i doświadczeniami, wliczając w to przede wszystkim wielki dar powołania. Ponadto obecność Kościoła, silnie zaangażowanego w oświatę (jezuici w Stanach Zjednoczonych prowadzą 28 szkół wyższych i uniwersytetów), ukazuje światu wspólnoty, których cel stoi ponad indywidualną korzyścią, czy osobistym zyskiem.

tłumaczył:
Andrzej Kowalski SJ

Wojenny nowicjat

Br. Karol Zwiorek SJ, ur. 1914, wstąpił do jezuitów w 1938, obecnie mieszka i pracuje w Świętej Lipce.

Urodziłem się w Berlinie podczas trwania I Wojny Światowej, kiedy państwo Polskie nie istniało. Po odzyskaniu niepodległości wraz z rodzicami przeprowadziłem się na tereny Polski, na Pomorze, gdzie dorastałem i zdobyłem wykształcenie. Po odbytej służbie wojskowej pracowałem w swoim zawodzie jako masarz, ale zacząłem rozmyślać nad życiem zakonnym. Miałem trochę wiadomości o zakonach, mieszczących się w Krakowie. Do tamtejszych jezuitów wysłałem prośbę o przyjęcie, która została przekazana Kurii Prowincji Wielkopolsko-Mazowieckiej. Wkrótce otrzymałem odpowiedź, że mogę być przyjęty, ale mam się stawić w Grudziądzu, celem przedstawienia się. W Grudziądzu zostałem bardzo życzliwie potraktowany przez o. Superio-

ra Nowakowskiego, który złożył propozycję, abym zaczął studia przygotowujące do kapłaństwa. Odmówiłem nie czując się tak silny w nauce. Decyzja moja została uszanowana i dnia 16 marca 1938 roku rozpocząłem półroczną aspiranturę w Kaliszu. Po skończonej aspiranturze musiałem wyjechać do nowicjatu do Pińska, który był w wówczas na terenie Polski. Magistrem nowicjatu był o. Jan Bratek, który bardzo serdecznie mnie przyjął. Zacząłem kandydaturę i nowicjat. Później odprawiłem Wielkie Rekolekcje, ale w tym czasie zanosilo się już na wojnę. Mimo niespokojnych czasów, my spokojnie odprawialiśmy nowicjat. Było nas 44, w tym 24 na braci, a 20 na



fol. Archiwum

kapłanów. Nasze kolegium było bardzo piękne i duże, bo w nim odbywała się także tzw. humaniora, czyli przygotowanie do studiów z obu polskich prowincji. Niestety we wrześniu 1939 roku wybuchła wojna. Wtedy o. Magister i Rektor przyszli do nowicjatu i oznajmili wszystkim, że jest wojna i że nie są w stanie nas utrzymać, więc wszyscy na własną rękę mamy się rozejść. Tak się stało. Każdy poszedł w swoją stronę. Z bólem serca, ale rozstaliśmy się. O. Magister Bratek wyjechał do Baranowic i tam schował się u o. Werbistów, a ja po kilku dniach dołączyłem do niego. Potem przedzieraliśmy się z Baranowic przez Białystok, Zaręby Kościelne i Małkinie (przez zieloną granicę). Stamtąd dostaliśmy się do Warszawy. W Warszawie oczywiście nas przyjęto, ale dom był już przepełniony ze względu na różnych uciekinierów. Wówczas o. Prowincjał Życzkowski zarządził, żeby nowicjusze, którzy się zbiorą udali się do Łęczycy, bo tam mieliśmy dom. Zebrało się nas ok. 20 nowicjuszy i po raz drugi rozpoczęliśmy nowicjat. Niestety, na krótko, bo Łęczycza została wcielona do Rzeszy. Musieliśmy się wycofać i wróciliśmy do Warszawy. Wtedy o. Ekonom Chrobak wynajął w Otwocku dom emerytowanych księży diecezjalnych z Warszawy, który stał pusty. Tam kontynuowaliśmy nowicjat, rozpoczęty w Łęczycy. Przyszedł czas, kiedy o. Magister prowadził Wielkie Rekolekcje dla I roku, a że II rok nie miał gdzie się podziać, odprawiliśmy Wiel-



foto. Archiwum

kie Rekolekcje po raz drugi. Było nas około 12 nowicjuszy. Taki stan trwał od stycznia do sierpnia 1940 roku. W sierpniu o. Prowincjałowie Lohn i Życzkowski porozumieli się, że najlepiej będzie połączyć dwa nowicjaty w Starej Wsi. Ponieważ miałem prze-rwany I rok kanoniczny i II rok podążyłem jeszcze do Starej Wsi. Przebywałem tam od sierpnia do grudnia. 8 grudnia 1940 roku, w święto Niepokalanego Poczęcia NMP złożyłem pierwsze śluby i tak skończyłem wędrówkę po nowicjatach.

opracowali:
Romuald Domagała SJ
Waldemar Paweł Los SJ

Wspomnienia z misji zambijskiej

R: Jak wyglądała brata przygoda z Afryką?

Moja trasa na misję prowadziła przez Holandię, Rzym i Ziemię Świętą. Chcieliśmy zobaczyć Ziemię Świętą, bo w tamtych latach na misję jechało się na stałe. Poprosiliśmy o to o. Generała, a on zgodził się. Nie trzeba było wiele dopłacać, bo tylko po 5 USD. Po Ziemi Świętej oprowadzał nas polski jezuita, tamtejszy superior na papieskim *Biblicum*.

W Zambii byłem w paru miejscach. Na początku przez pół roku w Banzii*, później przez dwa lata w Katoabwe*, a następnie dziesięć lat w Chingobwe*, gdzie pielęgnowałem ogród, który był zarazem naszym magazynem środków spożywczych. Od najbliższego miasta dzieliło nas 200 km, a drogi były takie, że Land Roverem jechało się sześć godzin, ciężarówką cztery godziny dłużej. To była najcięższa palcówka, ze względu na dojazd. Kapłan, chcąc zobaczyć się ze swoimi parafianami, musiał obejść teren wielkości dwóch polskich diecezji. O transporcie samochodowym nie było mowy. Przez jakiś czas miałem okazję pracować z abp. Adamem Kozłowieckim SJ, który jest na misji w Zambii od

Br. Tadeusz Nogaj SJ, ur. w 1937, wstąpił w 1955, wysłany w 1968 na misję do Zambii, do Polski wrócił 14 lat temu.

końca II wojny światowej. Pod koniec mojego pobytu w Zambii mieszkałem w Casisi*. Tam pracowałem na farmie i hodowałem bydło. Potem zachorowałem i wróciłem do Polski.

R: Skąd u brata pojawiła się myśl o misji?

Pamiętam, że o. Prowincjał dzwonił do Czechowic i pytał, czy bym nie pojechał na misję. Nie rozkazywał, ale pytał się. Nie miałem nic przeciwko. Wychodziłem z założenia, że mogę wykonywać każdą pracę, którą Towarzystwo mi zleci. Pojechało nas wtedy czterech: trzech księży, jeden brat zakonny.

Na misjach najgorsze są początki, a zwłaszcza jeśli nie umie się posługiwać nowym językiem. Gdy już wszystko poznasz, zaczynasz się czuć jak u siebie.

Trudno natomiast jest powrócić z mi-

sji. Rok, dwa na misjach - to jeszcze nie tak dużo, ale kiedy się jest dwadzieścia lat, wtedy ciężko się wraca. Czujesz się obco, nie znasz ludzi. Całe pokolenia już przeminęły.

W Afryce niebezpieczne są choroby. Najczęstsza bywa malaria. Profilaktycznie braliśmy raz w tygodniu chininę. Objawy malarii są różne: jeden ma gorączkę, drugi biegunkę. Teraz są już tabletki przeciw malarii mniej szkodliwe, które można brać codziennie. Jest to o wiele wygodniejsze i bezpieczniejsze.

R: Czy brat się uczył języka tubylców?

Właściwie nie, bo nie było kiedy. Pojechaliśmy tam bez znajomości angielskiego, więc musiałem się go uczyć na miejscu. Miejscowych narzeczy jest bardzo dużo, gdzieś około 70. I wcale nie są do siebie podobne. Ksiądz musiał znać dwa-trzy języki, żeby się porozumieć ze swoimi parafianami. W kuchni gotował nam murzyn. Po jakimś czasie, gdy się już trochę osłuchałem, rozmawiałem z nim w jego języku. Po angielsku mogłem oczywiście mu wszystko powiedzieć i on rozumiał, bo uczył się języka angielskiego jako urzędowego.

R: Jak wygląda wiara chrześcijańska na terenie Zambii?

Ja bym powiedział, że jak na tak krótki czas (dopiero sześćdziesiąt lat pobytu misjonarzy), jest tam dość dużo chrześcijan. Niektórzy są naprawdę bardzo religijni w tym wielu młodych. Lubią śpiewać pieśni religijne, brać udział w nabożeństwach. Starają się żyć po chrześcijańsku. Dzisiaj największy problem to poligamia. Ciężko im od tego odejść. Ale jest nadzieja, że chrześcijaństwo będzie mocne w Afryce.



R: Zadam klasyczne pytanie o spotkania z dzikimi zwierzętami i o klimat?

To było na porządku dziennym. Jedliśmy mięso tylko ze zwierzyny tamtejszej, bo miasto było zbyt daleko. Zresztą - przy takim gorącu nie można było nawet myśleć o dowiezieniu mięsa do nas. Chodziliśmy na polowania, często nocą. Pamiętam, raz przyjechałem zmęczony z miasta. Nie mieliśmy co jeść, więc trzeba było iść na polowanie. Poszliśmy w busz, niedaleko, może z kilometr od domu. Patrzą: są oczy. Ale nie wiedziałem, co to jest. Strzeliłem, a to leci na mnie. Więc nabiłem drugi raz i czekam. Jakiś trzy metry ode mnie zwierzę padło. Podchodzę - lampart.

Od razu było wiadome, że dalej nie ma co iść, bo gdzie są lamparty, tam już nic więcej do upolowania nie ma.

Trzeba było też uważać przy chodzeniu, żeby nie nadepnąć na jakiegoś skorpiona. Różne historie mogą człowieka spotkać. Można założyć spodnie z jakimś „gadem” w środku, w łóżku może się pojawić wąż.

W Zambii jest ciepło, ale przychodzi też pora wilgotna i trwa trzy miesiące. Spada wtedy dość dużo deszczu. Jest on tamtejszym ludziom bardzo potrzebny. Oni nie mają czym upra-



foto. Waldemar Paweł Eros SJ

wiać ziemi, jedyne co posiadają, to zwykła motyczka. Brak wielkich maszyn. A gdy jeszcze nie pada, to jest wielka tragedia.

R: Dziękujemy za rozmowę.

*wywiad przeprowadził:
Andrzej Kowalski SJ*

* - formy fonetyczne, spolszczone.

W drodze

Pochodzę ze wsi Kołków w powiecie pińczowskim. Od dzieciństwa interesowałem się ślusarstwem, stolarką, elektryką. Można powiedzieć, że były to zainteresowania rodzinne. To po rodzicach odziedziczyłem wiele z tych umiejętności, które w życiu rozwijałem. Człowiek zazwyczaj uczy się coś robić, gdy nie boi się, że zepsuje, kiedy nie boi się prób i błędów, które się zdarzają, gdy nie lęka się czynić sobie ziemi poddanej (por. Rdz 1, 28a).

Postanowiłem kształcić się w szkole zawodowej. Jakiś czas uczyłem się w niedalekim Pińczowie a następnie przenieśliem się do Siemianowic Ślą-

Br. Józef Hanas SJ, ur. w 1960, wstąpił w 1991, obecnie pracuje jako zakrystianin w Starej Wsi.

metaloplastycznych, zacząłem pomagać kierownikowi warsztatów w wykonywaniu różnych rzeczy – luster, ozdób, robiliśmy nawet Drogę Krzyżową do jednego z kościołów w Katowicach, za co w roku 1976 można było wylecieć z pracy.

Pod koniec szkoły rozpocząłem przygotowania do dalszego kształcenia w technikum, ponieważ organizowano w tym czasie ekipę, która miała pracować na nowych japońskich obrabiarkach i ja byłem jednym z kandydatów do tej grupy. Ale w ostatniej klasie zawodówki zmarła mi matka i gdy wróciłem do domu, dostałem ofertę zatrudnienia w Przedsiębiorstwie Montażu Elektrowni i Urządzeń Przemysłowych "Energomontaż" w Warszawie.

Warunki tej pracy były trudne – na wysokości, na rusztowaniach, czasami ubranie spocone na plecach, białe od soli – ale była ona dobrze płatna. Ludzie, z jakimi tam pracowałem, byli przeróżni. Po pierwsze – zbieranina z całej Polski. Po drugie – przekrój społeczeństwa: żonaci, mężatki, kawalerowie, rozwódki,

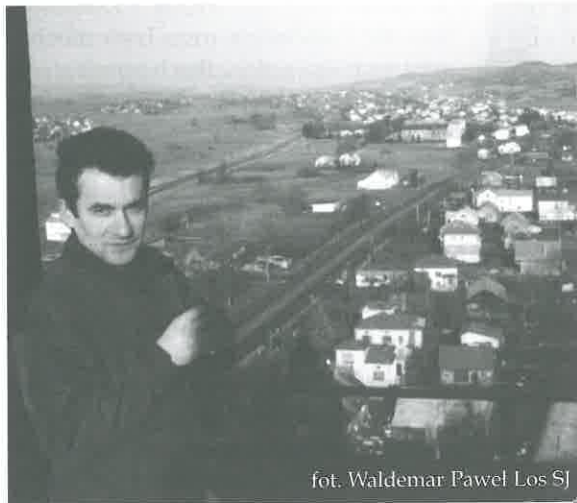


foto. Waldemar Paweł Los SJ

skich, gdzie przez dwa lata uczyłem się w Przyzakładowej Szkole dla Pracujących. Z racji swoich uzdolnień i "jakiego-takiego pojęcia" w pracach

wdowcy, był nawet eks-ksiądz. Budowaliśmy elektrownie i elektrociepłownię w Warszawie, Połańcu, Bełchatowie, w krajach RWPG jak i w tzw. "strefie dolarowej". Grupa była zróżnicowana, ale odbywała się w niej naturalna selekcja: jeśli ktoś chciał pracować - zostawał, jeśli nie, odchodził. Było to moje pierwsze, bardzo pozytywne doświadczenie wspólnoty ludzi, którzy żyli ze sobą, dzielili się swoimi radościami i problemami. "Jechaliśmy" tam



fot. Waldemar Paweł Los SJ

niejako "na jednym wózku" - razem pracując, niemal wszyscy w rozłące z rodziną, troszcząc się przede wszystkim o to, by innym zapewnić bezpieczeństwo, a dopiero na końcu martwiąc się o siebie.

W tym okresie byłem w wojsku przez dwa lata. Nauczyłem się tam kilku rzeczy. Jedna była negatywna - nauczyłem się kombinować. Ale oprócz tego

doświadczyłem, jak trudno jest kierować innymi, zresztą nigdy tego nie pragnąłem, a nawet broniłem się przed tym. Przez jakiś czas miałem pod sobą trochę ludzi i wtedy zauważyłem, że niełatwo jest nieraz drugiemu człowiekowi zaufać. Wolałem często sam więcej popracować, niż odpowiadać za czyjeś ewentualne partactwo. W wojsku udało mi się też zrobić kurs przedmażeński, co może się wydawać dziwne, jak na tamte czasy. Niektórzy porównują jezuitów do wojska, ale myślę, że to nie jest dobre porównanie - trzeba przede wszystkim popatrzeć na motywacje, jakimi ludzie kierują się robiąc coś.

Pracowałem w "Energomontażu" przez siedem i pół roku, a następnie zwolniłem się stamtąd. Wróciłem w swoje rodzinne strony i zajmowałem się remontem urządzeń mechanicznych w wapiennikach i cementowniach. W ten sposób trafiłem do wielu miejscowości - Ożarowa, Nowin, Nowej Huty. Teraz, przywołując na pamięć tamte doświadczenia, mogę powiedzieć, że z życiem duchowym jest trochę tak, jak z cementem, tym bez dodatków, stosowanym m.in. w budowie elektrowni atomowych - aby był trwały i mocny potrzebuje dużo czasu na dojrzewanie; coś co ma trwać, powinno rosnąć powoli.

Następnie obrabiałem marmur w Pińczowie. Po pół roku zwolniłem się stamtąd i zatrudniłem w Zakładach Aparatury Chemicznej w Tarnowskich Górach. Miałem wtedy więcej czasu na pożyteczne sprawy. To był dla mnie ważny czas. Kupiłem sobie



foto. Waldemar Paweł Los SJ

Pismo Święte, nauczyłem się też odmawiać różaniec. Zaczęłem codziennie chodzić do kościoła, uczestniczyć w nabożeństwach. Dużo wtedy podróżowałem, jeżdżąc do rodzinnego domu. Przejeżdżałem przez Kraków i tam zaczęła się moja znajomość z ludźmi, którzy później okazali się być jezuitami. Brałem udział w niedzielnych Mszach Świętych w kościele św. Barbary na Małym Rynku. Chodziłem tam, bo jeden z ojców miał dobre kazania. Trafią do mnie łączenie w homiliach treści poszczególnych czytań i przełożenie tego na język codzienności. Dodatkowo znajdowałem w nich odpowiedzi na trudności, jakie pojawiały się w moim życiu. Kazania, których słuchałem wcześniej były jak słoń:

gdy ja wychodziłem ze świątyni – on nie mieścił się w kościelnych drzwiach, więc zostawał wewnątrz. Pewnego razu zabrałem tam swoich znajomych, by i oni posłuchali tego, co dla mnie było ważne, ale oni się trochę nudzili. Wtedy zrozumiałem, że to, co jest dobre dla mnie, niekoniecznie musi być takie dla innych. Od 16 roku życia byłem „w drodze”, tzn. poza domem rodzinnym (w obecnej chwili jest to 25 miejsce mojego pobytu). W tych różnych miejscach poznałem wielu ludzi i od jakiegoś czasu zacząłem też więcej rozmyślać nad spotkaniami z drugim człowiekiem – pytać się, co Bóg chciał mi przez niego powiedzieć. Tak stopniowo przybliżałem się do życia Kościoła.

Po czterech latach zwolniłem się z pracy. Wróciłem do domu, zająłem się sprawami, które trzeba było tam zrobić i w pewnym momencie powiedziałem sobie – „Dość!”.

Już wcześniej postanowiłem żyć w celibacie i teraz postanowiłem zdolności i doświadczenie, które posiadałem wykorzystać dla zbożnych celów. Pod koniec kwietnia 1991 roku, dokładnie w dniu 22 kwietnia, tj. w Święto Matki i Królowej Towarzystwa Jezusowego (o czym dowiedziałem się później) nawiązałem bliższy kontakt z jezuitami, później odbyłem kilka rozmów co do przyjęcia i z połową lipca rozpocząłem aspiranturę w Częstochowie. Miałem wtedy 31 lat.

Na początku poczułem się trochę jak na urlopie, bo praca była trochę innego rodzaju niż ta, do której byłem przy-

zwyczajony. Zajmowałem się przede wszystkim sprawami bieżącymi: usuwaniem usterek hydraulicznych, kanalizacyjnych, elektrycznych po niedawno przeprowadzonym remoncie, przygotowaniem miejsc a i warunków dla różnych pielgrzymek, które w naszym domu się zatrzymywały. (rok 1991 był Rokiem Ignacjańskim, odbywał się wtedy też Światowy Dzień Młodzieży). Troszczyłem się także o rekolektantów.

Na początku września zostałem przeniesiony do Starej Wsi, aby rozpocząć nowicjat. Miałem dwóch magistrów – o. Mokrzyckiego i o. Osucha. Pod o. Mokrzyckim odprawiłem tzw. Wielkie Rekolekcje; myślę że każdy, kto odprawił takie rekolekcje zgodzi się, że jest to wielkie przeżycie, swego rodzaju przełom, a zarazem fundament pod dalsze życie duchowe. W nowicjacie do moich zainteresowań dołączyła troska o chorych. Bardzo dobrym przykładem był tu dla mnie brat Alojzy Banek, od którego nauczyłem się przede wszystkim wrażliwości na to, co dla chorego jest ważne i pożyteczne, a także dbałości o porządek.

Po nowicjacie skierowany zostałem na rok do pracy zakrystianina w Czechowicach-Dziedzicach. Później byłem dwa lata w Krakowie, gdzie zajmowałem się chorymi. Znów wzbogaciłem wiedzę, a także nabyłem pewnych umiejętności praktycznych. Ważny był dla mnie przykład jaki dawali nasi, doświadczając cierpienia. Podobnie istotną była obecność przy człowieku chorym - współbracie, który przeżywał bardzo trudne chwile i ja mu w nich

towarzyszyłem. Po tych dwóch latach dostałem dyspozycję do Częstochowy, gdzie pracowałem jako ogrodnik, a także usuwałem usterki w domu, szczególnie rekolekcyjnym. Stamtąd zostałem przeniesiony do Nowego Sącza, do pracy w zakrystii kościoła przy ul. Skargi. Po roku przyjechałem do Starej Wsi, gdzie aktualnie pracuję, łącząc obowiązki zakrystianina bazyliki i troszcząc się o różne domowe sprawy.

Ważną sprawą opiekuna bazyliki jest bardzo dobra współpraca z Siostrami Służebniczkami, które z wielkim oddaniem troszczą się przede wszystkim o wystrój świątyni, a także dbają o szaty liturgiczne dla kapłanów i ministrantów.

W kwestii życia domowego ważna jest współpraca z ministrem, troszczącym się o doczesne potrzeby wspólnoty. Tu wystarczy zdanie z Listu św. Jakuba Apostoła, które od lat staram się wypełniać: "Kto zaś umie dobrze czynić, a nie czyni, grzeszy" (Jk 4, 17). Wspólnota nie jest naturalną rodziną, stąd trzeba więcej czasu i starań ze strony każdego, by to życie napęłnić wzajemnym zaufaniem i serdecznością. Przychodząc do zakonu każdy z nas wnosi swoje style zachowania i reagowania na innych, sympatie i antypatie. Dopiero z czasem, na skutek zaangażowania, zmieniamy się, odrzucamy pewne cechy, niektóre wykorzeniaamy dla wspólnego dobra. I to dokonuje się teraz w każdym z nas.

*opracował:
Roman Dolny JS*

Kucharz od urodzenia

Bronisław Hadam pochodzi z Magierowa, wioski położonej niedaleko Starej Wsi - kolebki polskiego Towarzystwa Jezusowego. Przez młodzieńcze, pieszce wędrówki do Sanktuarium Matki Bożej Miłosierdzia w Starej Wsi poznał jezuitów i obudziło się w nim powołanie, które zapragnął realizować jako brat zakonny. Do zakonu wstąpił w 1958 roku. Od samego początku jego miejscem pracy była kuchnia, z czego jest bardzo zadowolony, ponieważ już w domu rodzinnym bardzo lubił gotować. W aspiranturze uczył się

Br. Bronisław Hadam SJ, ur. w 1932, wstąpił do zakonu w 1958, obecnie mieszka i pracuje w Starej Wsi.

fachu pod okiem br. Gabryśia, u którego szybko zyskał sympatię i zaufanie, tak duże, że często przygotowywał samodzielnie obiady dla mieszkańców starowiejskiego kolegium. A było ich w tym czasie niemało (liczba dochodziła nawet do 120 osób). Tam też poznał wielu ludzi świeckich. Spotykał ich w różnych okolicznościach. Niektórzy z nich pracowali jako pomocnicy w kuchni, inni dostarczali do niej warzywa, mięso. Zdolny uczeń szybko zmienił jednak miejsce pobytu, bo zapotrzebowanie na kucharzy w prowincji było duże. Młody Bronisław, jeszcze jako nowicjusz, wyjechał wspomagać kucharza do Czechowic - Dziedzic, gdzie pozostał też na kilka lat po ukończeniu nowicjatu. Z powojennego okresu, uśmiechając się, wspomina sytuację, kiedy urządził polowanie na nieproszonego gościa (szczura) w kuchni. Opowiada: „Chcę go złapać lub wygonić, a on staje, zapiera się łapkami, patrzy na mnie i nie chce uciekać”. Dopiero po wspólnej z współpracownikami akcji udało się przepędzić intruza. Po pracy w domu rekolekcyjnym trafił do kolegów: krakowskiego i starowiejskiego. Stamtąd przeniósł się do Wam-



foto: Waldemar Paweł Los SJ

bierzyc, gdzie nadal doskonalili kunszt kucharski. Przyzwyczajony w Starej Wsi do ogrodu, tu czerpał z niego podwójne korzyści. W chwilach wolnych, których – podkreśla - wiele nie było, spacerował, podziwiając piękno przyrody. Jednocześnie prowadził małe gospodarstwo, uprawiając i pielęgnując jarzyny, tak, że nigdy nie potrzebowano ich dodatkowo kupować. Oprócz zajęć w kuchni br. Broniek znajdował zawsze czas na kontakt z miejscową młodzieżą, która darzyła go dużą sympatią i często służyła pomocą. Z łezką w oku wspomina wspólne herbatki, pogawędki, a nierzadko też i modlitwy, prowadzone po zakończonych pracach. Spotkania te miały zawsze w radosnej atmosferze, a pokrzepienie, jakie płynęło z postawy młodego brata, było wyraźne. Podobnie rzeczy miały się na innych placówkach. Na powołanie zakonne, które obudziło się w jednej ze współpracow-

nic na placówce przy krakowskim Małym Rynku, na pewno miała wpływ postawa br. Bronka.

Czas spędzony w Królewskim Mieście także zapisał się w sposób szczególny w pamięci br. Bronisława. Mówi: „Czasami robiliśmy grilla na tarasie naszego domu u św. Barbary, ale krępowaliśmy się, żeby nas trębacz z pobliskiej Wieży Mariackiej nie widział, wędrowaliśmy więc z tym grillem po całym tarasie. Nic nie pomagało, nawet gdy uciekaliśmy do tyłu i tak nas widział”. Brat, żyjąc swoim kuchennym światem, lubił przyrządzać potrawy, za jakimi domownicy przepadali. Jedną ze specjalności to legumina, choć, jak przyznaje, zdarzało się czasami, że bywała przypalona. Do koronnych potraw należy zaliczyć bigos, nad którego „powstaniem” brat czuwał od samego początku, czyli od szatkowania i kiszenia kapusty. Przy tej czynności – mówi - było zawsze dużo śmiechu,

„Innym razem gotujemy z moimi pomocnikami w wielkim kotle rosół, który mamy podać na drugi dzień. Po wygotowaniu kości w stu litrowym garze, wystawiliśmy go przed kuchnię, na schody, by wystygł. Dzięki temu rosół rano nie był skwaszony; trzeba dodać, że kiedyś nie było takich lodówek, jak dzisiaj. Na drugi dzień rano, jako szef kuchni, przychodzę pierwszy. Rozdziałam pracę, patrzę, a do rosółu wpadła taka duża żaba. Wyciągnęła łapy w każdą stronę i tak leży. Ja się zastanawiam, co tu robić. Złapałem żabę, wyciągnąłem i taki zalęknęty, zamiast wylać rosół świnkom, kazałem go wylać pod drzewka. Ale zupę trzeba było robić inną. Więc szybko garnek, znów sto litrowy i chłopaków wysyłam po jarzyny: marchewkę, cebulkę, pietruszkę, „co tylko na świecie - kładźcie do tej wody niech się gotuje, potem bierzemy grysik i robimy grysikową zupę, bo nie ma innej rady” - mówię. Dajemy dużo masła – wyszła taka zupa, jakiej jeszcze nigdy nie zrobiłem w Starej Wsi. Nikt nie wiedział, że ta żaba wpadła, ale przez to druga zupa wyszła taka pyszna.”

bo do beczki trafiał najcięższy z braci, by najlepiej wygnieść kapustę. Bigos, chluba br. Bronisława, był jego ulubionym daniem. To tzw. bigos „na winie”, bo co się nawinęło, to lądowało w garnku szefa kuchni, a że kapusty, kiełbasy i mięsa nie brakowało, bogactwo bigosu było wielkie.

Przygoda z kuchnią skończyła się niespodziewanie. Po drobnym wypadku na stanowisku pracy i rekonwalescencji, brat przejął obowiązki furtyana w kolegium starowiejskim. Nie oznacza to wcale, że Broniek stracił pogodę ducha i uśmiech na twarzy, wręcz przeciwnie - umożliwiło to jeszcze większy kontakt z młodymi ludźmi, dla których serce brata Bronka było zawsze otwarte. Teraz, w Starej Wsi, pełniąc na furcie swe „ostre dyżury”, często rozmawia z okoliczną młodzieżą i dziećmi. Zwraca im uwagę na obowiązkowość, odpowiedzialność, pilność i porządek.



Przedstawiając sylwetkę br. Bronisława byłoby nietaktem pominąć jego

„Pamiętam, były urodziny o. Rektora Miziniaka [w Starej Wsi, przyp. red.], na które przyjechało bardzo wielu księży. Miałem robić leguminę dla stu gości oraz dla Naszych. Wysłałem jednego z moich pomocników po 300 jajek na folwark, przyniósł i robimy tę leguminę. Pomagali mi nowicjusze: Jasiu Burkat i Gucio Klocek. Jeden kręci, drugi nabija jajka do ciasta. Legumina powstaje. Wszystko w garnkach jak należy i potem tylko do salaterek.

Robiliśmy to wieczorem, żeby rano było gotowe. Rano trzeba było ją tylko przewrócić i na półmiskach wyglądałaby bardzo ładnie. Otwieramy jedną, patrzymy, a leguminka rzadka, nie zgęstniała. Co tu robić? Ale nie było się o co martwić - nowicjusze to młode chłopaki, więc z pewnością wszystko zjedzą. Tak też się stało. Zjedli z wielką radością, a my jeszcze raz po jajka i jeszcze raz robimy. Ta już się udała. Kładziemy na stół, każdy patrzy z zachwytem: legumina-cytrynowka (najlepsza). Podobna do lodów, żółciutka, z dodatkami... Hmm...Palce lizać...”

hobby, z którym jest związany od wczesnej młodości. Chodzi o jego fascynację motocyklami. W wiosenne popołudnia br. Broniek przemierza piękne tereny podkarpacia na swym „SIMSONIE”. Jest to dla niego - jak mówi - duże ułatwienie komunikacyj-

ne, nie pozbawione jednak przyjemności. Jak widać, powołanie zakonne może iść w parze z realizacją drobnych marzeń.

*opracował:
Waldemar Paweł Los SJ*

Krawczarz

Tak w naszym zakonie określa się braci, którzy szyją suknie zakonne. Kilka słów poświęcimy, pochodzącemu z Tęczyna, br. Józefowi Druzgała, który pracuje właśnie w tym fachu.

Myśl o powołaniu dojrzywała w nim od wczesnej młodości, kiedy to przy

br. Józef Druzgała SJ, ur. w 1937, wstąpił w 1955, obecnie pracuje jako krawczarz w Starej Wsi.

pasaniu krów rozmyślał o spotkaniu pastuszków z Matką Bożą w Fatimie.

Mimo upływu czasu te dziecięce pragnienia gdzieś w nim pozostały. Po kilku latach pracy w Krakowie, podobnie jak jego siostra, postanawia życie ofiarować Bogu. Pierwsze kroki w Towarzystwie Jezusowym stawia u boku br. Grybosia, jako szewc, niedługo potem, ku swojej ucieście, jest przeznaczony do pomocy ówczesnemu krawczarzowi br. Stanisławowi Krzyškowi. Tak się zaczyna przygoda z br. Krzyśkiem, z krawiectwem.



foto. Waldemar Paweł Los SJ

Br. Józef słyszał, że powołanie brata jest trudne, ale zdał się na wolę Bożą i dzisiaj dziękuje za to Ojcu Niebieskiemu. Od roku 1954, czyli od przyjazdu do aspirantury zajmuje się krawiectwem (tylko z małymi przerwami). Najdłużej pracował w Krakowie, aż 29 lat. Tu do fachu krawieckiego przysposabiał go br. Ruchel. Po jego śmierci mistrzem br. Józefa został br. Krzysiek. To właśnie pod jego okiem dokonało się najistotniejsze „przeszkolenie”. Długie

lata br. Druzgała pracował jako pomocnik i asystent starszych braci krawczarzy. Obok wspomnianych braci: Krzyśka i Ruchela, byli jeszcze inni, zajmujący się krawiectwem np. br. Dominik Chromik w Wambierzycach, czy br. Obój w Nowym Sączu. Br. Druzgała był jednak jedynym pomocnikiem, bo nikt inny nie wykazywał w tej dziedzinie talentu. Praca u boku bardziej doświad-

czonych współbraci nie zawsze była łatwa, szczególnie jeżeli młody brat chciał podglądać sztuczki, którymi posługiwali się doświadczeni specykrawczarze. Tu, jak wspomina, wykazując pragnienie nauki i zadając pytania, często słyszał, że na razie jest tyl-

ko uczniem i niech się nie wtrąca. Tego typu napomnienia przyjmował bardzo pokornie, rozumiejąc, że jest to tajemnica zawodowa, której każdy mistrz chce strzec. W swojej karierze krawieckiej zajmował się głównie szyciem sutann, które w naszym języku nazywamy sukniami zakonnymi, ale jak wspomina, kiedyś była potrzeba szycia także serdaków czy spodni. Dzisiaj - twierdzi - o wiele łatwiej i taniej, niż kiedyś, można kupić gotowe spodnie,

a czas ten warto spożytkować na szycie sukni zakonnych. Uszycie całej sutanny zajmuje od jednego do dwóch tygodni. Jest to uzależnione od rozmiarów osoby, na którą dana suknia jest szyta. Być krawcem z wykształcenia wcale nie oznacza umieć szyc nasze suknie. Br. Józef wspomina z uśmiechem: „Już niejedna krawcowa próbowała...”. Krój jest dosyć skomplikowany ze względu na różne zakamarki, zakładki

i podszycia. Mimo, że posiada się gotowe formy, to trzeba doskonale wiedzieć, jak manipulować materiałem, gdzie i ile dodać, a gdzie ująć. Przy braniu miar najważniejsze są trzy: długość, rękaw i kołnierz („reszta jest tak obszerna, że się dopasuje” - powiada



fot. Waldemar Paweł Los SJ

br. Józef). A jeżeli chodzi o samo wykonanie - największym majstersztykiem jest dobrze wszyć kołnierz. Jeżeli tę czynność opanowało się, można powiedzieć, że potrafi się szyc jezuickie suknie. Mimo to szycie jest tylko jedną stroną medalu. Opanować technikę szycia, a opanować technikę krojenia - to dwie różne dziedziny.

W młodości, będąc pomocnikiem br. Krzyśka, br. Druzgała zdobył umiejętności potrzebne do szycia. Dużo czasu pochłaniały mu naprawy i reparaacje sukni, więc nie było zbyt wielu okazji i możliwości nauki krojenia materiału. W 1994 roku, kiedy po raz kolejny zaczynał współpracę z br. Krzyśkiem (tym razem w Starej Wsi), był świadomy, że niedługo może będzie musiał sam objąć cały warsztat. Zainteresował się więc mocno również tą dziedziną krawiectwa.

Po śmierci br. Stanisława został „dyrektorem” krawczarni i wszystkie obowiązki spadły na niego. Początki krojenia były trudne, możliwe, że nawet trudniejsze, niż sama nauka szycia. Ale pierwsza udana próba, jaką stanowiły śluby jednego z roczników nowicjackich, dodała mu otuchy. Może początkowo trochę dłużej trwało krojenie, bo musiał kopiować pewne części z rozprutych, starych sukien dla nabrania wprawy, ale z czasem opanował i ten mechanizm.

Wspomina, że sześćdziesiątka to już nie czas na naukę, a w takim wieku przyszło mu zmierzyć się z nowym zadaniem. Ale nie było rady. Z czasem osiągnął taką wprawę, że oprócz po-

trzeb nowicjackich szyje także suknie dla niektórych współbraci z prowincji, jeżeli są w takiej potrzebie. Obok pasji krawieckiej zainteresowania br. Józefa były od dzieciństwa nastawione na motoryzację, a szczególnie na motocykle. Wszystko zaczęło się w pierwszych klasach podstawówki, kiedy to zbudował sobie „motorek” z drewna. Potem jakby z braku możliwości musiał odłożyć pragnienie posiadania motocykla, ale do czasu. Wreszcie udało mu się zakupić stary motocykl. Nie był on w najlepszym stanie i dzięki temu Józef poznawał całą konstrukcję swego pojazdu, ucząc się jego budowy podczas godzin spędzonych na naprawach.

Po różnych perypetiach udało mu się zdobyć nowszy skuterek marki „SIMSON” i właśnie na nim do dziś przemierza (wraz z br. Hadamem, który także posiada „SIMSONA”) starowiejskie okolice. Jak ważne jest łączenie wypoczynku i modlitwy w duchu zakonnym, potwierdzają jego słowa: „Bardzo lubię jeździć, to dobra rozrywka, to przenośnik człowieka. Lubię jeździć szczególnie na wzgórze Michałka. Tam są piękne lasy i można wypocząć, wymodlić się. Mam taki brewiarzyk ze zjazdów braci. Jak byłem młody i to sobie tam odmawiam - jako „mnich” człowiek musi mieć ducha modlitwy. Gdy człowiek jest odświeżony, to ma kondycję i chęć do pracy”.

*opracował:
Waldemar Paweł Los J*

Kilka opowiadań br. Stefana

U jezuitów wszystko można było można dostać.

O, po wojnie ta nasza jezuicka „księ-gareńka” WAM-u była malutka, ale w Krakowie mówiło się że u jezuitów można dostać każdą książkę. Nie bez przyczyny: mieliśmy znajomości wśród wydawców z Częstochowy, którzy drukowali za granicą i mieli sporo ciekawych tytułów. W naszym WAM-ie ukazywało się sporo wydań Pisma Świętego, więc mogliśmy się wymieniać z częstochowskimi wydawcami. Bywało tak, że przychodzili do nas księża poszukując takiej, czy innej książki, aby np. pisać doktorat, wówczas ja jechałem do Częstochowy i zdobywałem potrzebne dzieła.

Jako wikary u św. Floriana przycho-

Br. Stefan Wawszczak SJ, ur. w 1920, wstąpił do Towarzystwa w 1939, od 1951 pracuje w administracji i księgarni WAM-u w Krakowie.

dził do nas raz w tygodniu książk Wojtyła. Dla niego trzymałem różne nadzwyczajne książki. Zdarzało się też mieć książki „spod lady”, były to szczególnie cenne i rzadkie tytuły. Żadnych antypaństwowych książek nie mieliśmy, aby nie dawać władzy powodu do szykan. Jednak i bez tego mieliśmy z nią nie raz do czynienia.

Problemy z władzą

Władza komunistyczna kazała nam kupować papier za dolary i zastrzegła sobie, że możemy wydawać tylko dwa tytuły rocznie. Oprócz tego były ciągłe rewizje, kontrole i wezwania. Zdarzało się, że sam dyrektor od spraw cenzury przychodził i na kolanach szukał, czy czegoś nie schowaliśmy pod ladą. Ale myśmy już dwa dni wcześniej wiedzieli, że przyjdą nas sprawdzać, bo jego sekretarka o tym uprzedzała. Była to dobra katoliczka. Często wzywali mnie i o. Zająca, pytali o wszystko, nakazując: „Tylko nic nie mówcie przełożonym”, ale ja im zawsze odpowiadałem: „Właśnie, że wszystko powiem”. No to mnie zamykali w piwnicy, zabierali sznurówki i trzymali jakiś czas. Potem odwozili



foto. Andrzej Sochacki

do domu i przepraszaali przełożonych, że mnie tak długo musieli trzymać, mówiąc przy tym, że brat jest krnąbrny i uparty.

Spotkania z siostrą Faustyną

Mój rodzony brat pracował u sióstr na Łagiewnikach, więc spotykałem się z siostrami przy różnych okazjach, również z siostrą Faustyną. Pamiętam jak kiedyś jechaliśmy z Warszawy do Łagiewnik i zatrzymaliśmy się w Częstochowie. Na Jasnej Górze s. Faustyna przekleżała pięć godzin. Także na codzień było widać, że jest osobą niezwykłą, świętą. Promieniowała z niej prawdziwa życzliwość i dobroć. Wyglądała rzeczywiście tak, jak na tym znanym obrazku, który jest obecnie rozpowszechniany.

Bardzo się ucieszyłem i głęboko przeżyłem jej kanonizację. Jestem z Nią w bliskim kontakcie, którego nie da się wyrazić słowami. Wzywam Ją nieraz. Już wcześniej, przed beatyfikacją, była mi bliska, bo czułem, że Ona jest święta.

Miłość do książek

Kocham książki. Teraz wystarczy tylko, że przeglądam tytuły i spis treści, żeby mieć wyobrażenie, co jest w danej książce. Książkami zajmuję się od 52 lat. Ponieważ nasza obecna księgarnia jest duża i mamy wiele książek, nieraz kupującym może brakować rozeznania, co wybrać. Wówczas mogę pomóc doradzić co warto wybrać. Pytam zazwyczaj co interesuje i dla kogo ma być książka. Raz przysłała taka pani i chciała kupić książkę dla męża alko-

holika. Polecilem jej taką pod tytułem „Maryja w moim życiu”. Potem przysłała z kwiatami i mówiła, że mąż czytał ją całą noc (a to mu się wcześniej raczej nie zdarzało) i dużo mu z tego zostało.

Wokół naszej księgarni mamy same kliniki, więc myślę, że lepiej jest choremu kupić jakąś książkę niż kwiatek. Bo chory czytając ją, ma dużo czasu na przemyślenia. Większy z tego pożytek. Widzę, że zarówno młodzi, jak i starsi kupują książki. I tak myślę, że dla człowieka młodego powinna być ona krótka i jasna, a dla starszego może być dłuższa, bo ma więcej czasu oraz więcej doświadczeń życiowych. Chętnie przychodzą do nas studenci „Ignatianum”, zwłaszcza ci ze studiów zaocznych. Nieraz w soboty mamy w księgarni i sto osób.

Habemus Papam

Pamiętam, jak tuż po wyborze kardynała Wojtyły na papieża, zrodziła się u O. Jana Ożoga myśl, aby z tej okazji wydać książkę. I powstało nieduże, lecz bogate treściowo dziełko „Habemus Papam”. Sprzedawaliśmy je do aż do godziny drugiej w nocy. Był wówczas ciepły wieczór i ludzie stali w kolejce aż do ulicy Strzeleckiej, niektórzy mieli rozłożone materace.

Rozmawiałem z Bratem Stefanem w jego pokoju, gdzie stoi duży zegar i kilka książek na półce, wśród których wielkością i świeżością wydania wybijają się Konstytucje Towarzystwa Jezusowego.

**opracował:
Wojciech Kowalski SJ**

**o. Andrzej Pelka SJ, opiekun Kręgu Przyjaciół Jezuitów,
Księża Jezuiti, 30-961 Kraków 1, skr. p. 128,
tel.: 012/ 428-15-00,
e-mail: pelka@jezuici.krakow.pl**

Drodzy Czytelnicy!

Ponownie prosimy o udostępnianie naszego czasopisma Waszym krewnym, znajomym, oraz o podanie nam adresów osób zainteresowanych jego otrzymywaniem. W ten sposób będziemy mogli nawiązać z nimi kontakt. „Jezuici – Nasze Wiadomości” są rozsyłane nieodpłatnie. Jeżeli Państwo chcecie nas wesprzeć finansowo, możecie przesłać Wasze ofiary na podane niżej konto. Serdeczne „Bóg zapłać”.

**Prowincja Polski Południowej TJ
Krąg Przyjaciół Jezuitów
Bank Pekao S.A. – Grupa Pekao S.A.
III/O Kraków, ul. Szpitalna 15
R-k nr 10701193-13866-2221-010011**

Redaguje zespół: Andrzej Kowalski SJ, Waldemar Paweł Los SJ, Wojciech Kowalski SJ, Roman Dolny SJ.

Kurator numeru: Józef Bremer SJ.

Korekta: Magdalena Anna Sitko.

Adres redakcji: ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków, tel. (012) 429 44 16.

Druk: Wydawnictwo WAM w Krakowie, ul. Kopernika 26. Za zezwoleniem władz zakonnych. ISSN 1506-8722.

Na okładce z przodu: br. Stefan Wawszczak SJ i br. Grzegorz Sochacki SJ, w tle księgarnia WAM-u w Krakowie.

Na okładce z tyłu: zjazd braci zakonnych Polskich Prowincji Towarzystwa Jezusowego w roku 1980.

